

W ulewnym deszczu Albert z zabandażowaną lewą ręką, trzymając pod pachą pudełko po butach, pchnął furtkę prowadzącą na małe podwórko całe zawalone cegłami, kołami, podartymi budami dorożek, połamanymi krzesłami, różnymi niepotrzebnymi przedmiotami budzącymi pytanie, jak tu trafiły i czemu mogłyby służyć. Wszystko tonęło w błocie i Albert nawet nie próbował skorzystać z ułożonych w szachownicę kamiennych płytek, ponieważ na skutek ostatnich deszczów tak się porozsuwały, że przejście po nich suchą stopą wymagałoby akrobatycznej zręczności. Nie miał kaloszy, a zresztą z kartonowym pudłem pełnym szklanych ampułek wykonywanie takich tanecznych płaśów... Stąpając na palcach, przeszedł przez podwórze i dotarł do małego budynku, w którym piętro przeznaczono na wynajem za dwieście franków miesięcznie, czyli prawie nic w porównaniu z wysokością przeciętnego czynszu w Paryżu.

Zamieszkali tu w czerwcu, niedługo po powrocie Édouarda do cywilnego życia.

Tamtego dnia Albert pojechał po niego do szpitala. Mimo skromnych środków szarpnął się na taksówkę. Od

zakończenia wojny widywało się wielu inwalidów, i to wszelkiego rodzaju — również pod tym względem wojna wykazała się nadspodziewaną pomysłowością — a mimo to ujrawszy tego utykającego golema ze sztywną nogą i dziurą pośrodku twarzy, taksówkarz, Rosjanin, wpadł w popłoch. Nawet Albert, choć przecież co tydzień odwiedzał kolegę w szpitalu, wciąż nie mógł się z tym widokiem oswoić. Ale w czterech ścianach nie robiło to takiego wrażenia, jak na zewnątrz. To tak jakby paradować po ulicy ze zwierzęciem z zoo. Całą drogę odbyli w milczeniu.

Édouard nie miał dokąd pójść. Albert zajmował w owym czasie mały, pełen przeciągów pokój na poddaszu, z ubikacją i umywalką z zimną wodą w korytarzu, mył się w misce, dlatego kiedy tylko mógł, korzystał z łaźni publicznej. Édouard wszedł do pokoju jak somnambulik, nie widząc go, usiadł na krześle pod oknem, spojrzął na ulicę, w niebo i zapalił papierosa przez lewą dziurkę od nosa. Albert natychmiast zrozumiał, że już się stąd nie ruszy i że odtąd codzienne życie koncentrować się będzie na opiece nad nim.

Mieszkanie pod jednym dachem od razu okazało się niełatwe. Édouard swoją wielką i wychudzoną osobą — bardziej wynędzniałą od niego był tylko szary kot snujący się po dachach — zajmował całe pomieszczenie. Pokój był mały nawet dla jednego lokatora, życie w nim we dwójkę przypominało tłok w okopach, co było naprawdę przygnębiające. Édouard sypiał na kocu rozłożonym na podłodze i wyciągnąwszy przed siebie sztywną nogę, zapatrzony w okno, całymi dniami palił. Przed wyjściem Albert przygotowywał mu coś do jedzenia, składniki, pipetkę, lejek, a Édouard tknął to lub nie. Przez cały dzień tkwił jak słup soli w jednym miejscu. Wydawało się, że pozwala życiu powoli, na podobieństwo krwi sączącej się z rany, po prostu płynąć. Dzielenie z kimś niedoli jest rzeczą

tak przykrą, że Albert już wkrótce zaczął wymyślać różne preteksty, byle tylko wyjść z domu. Tak naprawdę szedł na kolację do jadalni Duvala, lecz prowadzenie rozmowy z równie posępnym towarzyszem, jak on sam, okropnie go przygnębiało.

Poczuł strach.

Wypytywał Édouarda, co dalej, gdzie zamierza znaleźć schronienie? Jednakże kiedy tylko zauważał jego przygnębienie, jego wilgotne oczy — jedyny żywy element tego tragicznego obrazu — jego zagubione spojrzenie wyrażające całkowitą bezsilność, po wielokroć rozpoczynana dyskusja szybko się kończyła.

Wtedy też pogodził się z myślą, że na razie Édouard zdany jest całkowicie i bez reszty na niego, i to pewnie na długo, dopóki nie poczuje się lepiej, nie nabierze ochoty do życia, nie zacznie znowu planować. Uznał, że jego rekonwalescencja potrwa miesiąc, i nie dopuszczał do siebie myśli, że jeden miesiąc to prawdopodobnie zbyt optymistyczny termin.

Przyniósł Édouardowi papier i kredki, ten podziękował mu gestem, ale nigdy nawet nie otworzył paczki. Nie miał w sobie nic z pasożyta czy wyzyskiwacza, był po prostu pustą skorupą, wyzbytą wszelkich pragnień i dążeń, rzec by można, wręcz bezmyślną: gdyby Albert przywiązał go pod mostem jak domowe zwierzę, które się już znudziło właścicielowi, i co sił w nogach uciekł, Édouard nie miałby mu tego nawet za złe.

Albert znał określenie „neurastenia”, zasięgnął informacji, popytał tu i ówdzie, usłyszał również o „melancholii”, „depresji”, „poczuciu beznadziei”, wiele mu to nie dało, bo to, co najważniejsze, sam na co dzień oglądał: Édouard, na podobieństwo tych milczących i bezwolnych starców, których w końcu przestaje się już dostrzegać, a zauważa

dopiero, gdy umrą — czekał na śmierć i obojętnie, jak długo przyjdzie mu czekać, była ona jedynym możliwym rozwiązaniem, ledwie jakąś zmianą, zwykłym przejściem z jednego stanu w inny, zaakceptowanym z cierpliwą rezygnacją.

Albert nieustannie do niego mówił, to znaczy jak stary samotny człowiek w swojej klitce mówił sam do siebie.

— Spójrz tylko, jaki ze mnie szczęściarz — nawijał, przygotowując dla Édouarda posiłek, mieszankę jajka z bulionem — mógłby mi się przecież trafić współlokator maruda, i w dodatku kłótniwy.

Próbował wszystkiego, byle go rozbawić, licząc, że mu tym pomoże, oraz chcąc zgłębić zagadkę, która od samego początku nie dawała mu spokoju: co pocnie Édouard, jeśli któregoś dnia będzie chciał się roześmiać? Na razie co najwyżej wydawał z siebie gardłowe przenikliwe gruchanie, wywołujące u słuchacza zakłopotanie i chęć pośpieszenia mu z pomocą, tak jak wymawia się całe słowo, ażeby pomóc jąkałemu, który zaciął się na jednej sylabie, co było dość frustrujące. Na szczęście takie odgłosy Édouard wydawał rzadko, można by odnieść wrażenie, że okropnie, bardziej niż wszystko inne, go męczy. Ale kwestii jego ewentualnego śmiechu Albert wciąż nie potrafił zgłębić. Skądinąd od czasu tego incydentu z zasypaniem ziemią nie była to jedyna jego myśl granicząca z natręctwem. Oprócz nieustannego napięcia, niepokoju i lęku przed tym, co go może jeszcze spotkać, dręczyły go też inne obsesyjne myśli, które na okrągło, do upadłego roztrząsał, z takim samym uporem, z jakim obciążył swego czasu sprawę odtworzenia łba zabitego konia. Nie bacząc na koszty, kazał rysunek Édouarda oprawić w ramkę; stanowiła jedyny element dekoracyjny ich pokoju. Czasami, pragnąc zachęcić przyjaciela, żeby wrócił do pracy lub żeby po prostu

czymkolwiek się zajął, stawał z rękami w kieszeniach przed obrazkiem i ostentacyjnie wyrażał swój podziw, mówiąc, że naprawdę Édouard ma talent i że gdyby zechciał... Daremny trud, Édouard zapalał papierosa przez prawą lub lewą dziurkę od nosa i powracał do kontemplacji dachów i kominów, stanowiących główny element widokowy za oknem. Nic go nie interesowało, w czasie tych miesięcy spędzonych w szpitalu, kiedy to większość energii zużywał na odrzucanie zaleceń lekarzy i chirurgów, nie poczynił żadnych planów, i to nie tylko dlatego, że nie godził się na swój obecny stan, ale ponieważ nie potrafił wyobrazić sobie, co potem, przyszłości. Dla niego wraz z odłamkiem pocisku czas raptownie się zatrzymał. Był gorszy od zepsutego zegara, który przynajmniej dwa razy dziennie wybija godzinę. Miał dwadzieścia cztery lata i w rok po kontuzji nadal nie zdołał powrócić do bodaj namiastki tego człowieka, którym kiedyś był, czegokolwiek w sobie odbudować.

Przez długi czas trwał w stanie osłupienia i niedowierzania, wzorem wielu innych żołnierzy zastygłych w pozycji, w jakiej ich znaleziono, zgiętych, skurczonych, skulonych — nie do wiary, co też ta wojna potrafiła zrobić z ludźmi — zamarł w postawie ślepego odrzucenia wszystkiego, co się do niego mówiło. Uosobieniem jego odmowy stał się profesor Maudret, pieprzony dureń, którego nie interesowali pacjenci, tylko medycyna i postęp w chirurgii, co zapewne równocześnie było i nie było prawdą, ale Édouard nie wdawał się w niuanse, miał dziurę pośrodku twarzy i nie był w nastroju do rozważania różnych za i przeciw. Uczepił się morfiny, robił wszystko, by mu ją przepisano, zniżał się do niegodnych siebie podstępów, błagań, forteli, żądań, symulacji, kradzieży, być może wyobrażał sobie, że morfina, a co tam, w końcu go uśmierci, potrzebował coraz większych

dawek, a profesor Maudret, którego wszystkie propozycje przeszczepów, protez i urządzeń dla inwalidów z uporem odrzucał, w końcu pokazał mu drzwi; człowiek zadaje sobie mnóstwo trudu dla tych ludzi, proponuje im najnowsze dokonania chirurgii, a oni wolą zostać tacy jak są, patrzą na ciebie, jakbyś to ty rzucił w nich tym pociskiem. Koledzy psychiatrzy (szeregowego Larivière'a diagnozowało wielu, lecz on zacięty, zamknięty w sobie, nigdy nie odpowiadał na ich pytania) mieli własne teorie na temat uporczywego odrzucania pomocy przez pacjenta tak okaleczonego; głuchy na ich wyjaśnienia profesor Maudret wzruszał tylko ramionami, wołał poświęcać swój czas i wiedzę chłopakom, dla których warto było tak ciężko tyrać. Nawet na niego nie spojrzawszy, podpisał zgodę na wypisanie go ze szpitala.

Édouard opuścił szpital z receptami, minimalną dawką morfiny oraz plikiem dokumentów na nazwisko Eugène Larivière. Kilka godzin później w małym mieszkanku kolegi usiadł na krześle pod oknem i niczym wchodzący do celi więzień skazany na dożywocie poczuł zwalający się na jego barki cały ciężar przeznaczenia.

Nie był w stanie pozbierać myśli, lecz słyszał, jak Albert mówi do niego o sprawach codziennych, próbował się skupić, tak, oczywiście, czas pomyśleć o pieniądzach, faktycznie, co z nim teraz będzie, co ze sobą pocznie, nie potrafił jednak wyjść poza proste stwierdzenie faktu, jego umysł był jak sito, przez które wszystkie myśli przeciekały; kiedy przytomniał, był już wieczór i Albert wracał z pracy albo środek dnia i jego ciało domagało się zastrzyku. Jednak podejmował wysiłki, naprawdę próbował wyobrazić sobie, co dalej, zaciskał pięści, ale to nie pomagało, jego myśli jak płyn wsiąkały w każdy najmniejszy otwór, momentalnie pierzchały, ustępując miejsca niekończącemu się rozpamiętywaniu. Przeszłość Édouarda była jak płynąca

swobodnym, nieskrępowanym nurtem rzeka. Często powracała do niego matka. Zachował niewiele po niej wspomnień, ale obsesyjnie czepiał się strzępów tych, które przetrwały, mglistych reminiscencji związanych z odczuciami zmysłowymi: woń jej piżmowych perfum, jej różowa toaletka ze zdobnym pufem, z jej kremami i szczotkami, jedwabistość satyny, którą chwycił któregoś wieczoru, kiedy się nad nim nachyliła, czy złoty medalion, który otworzyła, żeby mu pokazać, co jest w środku, nachylając się, jakby to był sekret. Nie pamiętał natomiast jej głosu, jej słów ani jej spojrzenia. W jego wspomnieniach matka rozplynęła się, dzieląc los wszystkich innych, których znał. To odkrycie go załamało. Odkąd sam nie miał twarzy, twarze wszystkich innych się zatarły. Matki, ojca, jego kolegów, kochanków, profesorów, twarz Madeleine... Ona również często do niego powracała. Już nie jej twarz, ale śmiech. Nie znał nic dźwięczniejszego od jej śmiechu, popełniał różne głupstwa, byle go usłyszeć, a nie było to trudne, wystarczył jakiś rysunek, kilka grymasów, karykatura któregoś ze służących — oni również się śmiali, bo w rysunkach Édouarda nie było cienia złośliwości — ale przede wszystkim przebrania, uwielbiał się przebierać i robił to z niezrównanym talentem, wkrótce przerodziło się to wręcz w transwestytyzm. W trakcie zabawy z makijażem śmiech Madeleine stawał się nieco wymuszony, nie, nie chodziło o nią, tylko „o tatę, gdyby to zobaczył”. Starła się czuć nad wszystkim, po najdrobniejsze szczegóły. Czasami jednak sytuacja wymykała się jej spod kontroli, a wówczas atmosfera przy kolacji stawała się ciężka, lodowata, ponieważ Édouard usiadł do stołu, udając, że zapomniał zmyć tusz do rzes. Zauważywszy to, pan Péricourt wstawał, odkładał serwetkę i prosił, żeby syn opuścił jadalnię. Ale dlaczego?! — wołał Édouard z obłudnie oburzoną miną. —

Co znów takiego zrobiłem? Wtedy jednak nikomu nie było już do śmiechu.

Twarze ich wszystkich, włącznie z jego własną, zniknęły, żadna się nie ostała. Czego uchwycić się w takim świecie pozbawionym twarzy, z kim walczyć? Pozostały tylko zastępy bezgłowych postaci, za to o proporcjach ciała tak wyolbrzymionych, tak masywnych jak u jego ojca. Na powierzchnię niczym bąbelki powietrza wynurzały się odczucia z okresu jego wczesnego dzieciństwa; a to cudowny dreszczyk lęku połączonego z uwielbieniem, jaki wzbudzał w nim kontakt z ojcem, a to jego ton, kiedy mówił z uśmiechem: „Nieprawdaż, synu?”, biorąc go na świadka w dyskusjach toczonych między dorosłymi i w sprawach, których nie rozumiał. Wydawało się, że jego wyobraźnia zubożała, sprowadziła się do gotowych banalnych obrazów. I tak czasami ojciec jawił mu się we wspomnieniach na podobieństwo potwora z bajek poprzedzony wielkim mrocznym cieniem. A te jego plecy! Te szerokie groźne plecy, które Édouardowi wydawały się po prostu ogromne, dopóki nie dorównał mu wzrostem, a potem go przerósł; ileż obojętności, pogardy i niesmaku potrafił wyrazić ojciec samymi tylko plecami.

Swego czasu Édouard nienawidził ojca, ale to minęło. Potem połączyła ich wzajemna pogarda. Życie Édouarda waliło się, gdyż utraciło już tę podporę, jaką była nienawiść. Tę wojnę również przegrał.

I tak dni płynęły, Édouard rozpamiętywał obrazy, krzywdy, Albert wychodził i wracał. A kiedy trzeba było porozmawiać (Albert zawsze chciał rozmawiać), Édouard wynurzał się ze świata swoich rojeń. Była już ósma wieczorem, ale on nie zapalił nawet światła. Albert uwijał się jak mrówka, rozprawiał z żywieniem, a z jego słów wynikało przede wszystkim to, że nie mają pieniędzy.

Codziennie robił zakupy na bazarze Vilgraina* i twierdził, że pieniądze topnieją z zawrotną szybkością. Nigdy nie wspominał o kosztach morfiny, co było z jego strony dowodem taktu. O pieniądzach mówił ogólnie, tonem niemal rozbawionym, tak jakby ich brak był przejściowym kłopotem, z którego człowiek będzie się potem śmiał, podobnie jak swego czasu na froncie, dla dodania sobie otuchy, traktowało się wojnę po prostu jak wariant służby wojskowej, uciążliwą pańszczyznę, którą kiedyś będzie się dobrze wspominało.

Na szczęście sprawa pieniędzy miała się już wkrótce rozwiązać, to tylko kwestia czasu, nic innego, renta inwalidzka Édouarda będzie wielką ulgą, umożliwi zaspokojenie potrzeb przyjaciela. Żołnierz, który poświęcał życie dla ojczyzny, trwale niezdolny do powrotu do normalnej aktywności, jeden z tych, którzy pomogli wygrać tę wojnę, rzucić Niemców na kolana... Na ten temat Albert mógł rozprawiać bez końca, sumując premię demobilizacyjną, żołd, zasiłek inwalidzki, rentę inwalidy wojennego...

Édouard pokręcił głową, że nie.

— Jak to „nie”? — zdziwił się Albert. Otóż to — pomyślał, przecież Édouard nie poczynił żadnych kroków, nie wypełnił dokumentów ani ich nie wysłał. — Nie przejmuj się, ja się tym zajmę — powiedział.

Édouard znowu pokręcił głową. A że Albert wciąż nie rozumiał, sięgnął po tabliczkę, za pomocą której się porozumiewali, i kredą napisał: „Eugène Larivière”.

Albert zmarszczył brwi. A wtedy Édouard wstał, sięgnął

do swojego żołnierskiego plecaka i wyjął zmięty formularz zatytułowany: „Przygotowanie dokumentacji dla osób starających się o rentę lub zasiłek” z listą dokumentów, które należało dostarczyć, by móc stanąć przed komisją. Wzrok Alberta przykuły własnoręcznie podkreślone na czerwono przez Édouarda pozycje: zaświadczenie o przyczynie obrażeń lub choroby, kopia wstępnych ustaleń lekarskich z zaciągu do służby, wyciąg z rozkazu personalnego o zwolnieniu ze służby wojskowej, zaświadczenie o pierwszej hospitalizacji...

To był dla niego potworny wstrząs.

A przecież było to oczywiste. Żaden Eugène Larivière nie został wymieniony wśród rannych w ataku na Wzgórze 113 i hospitalizowanych. Był niejaki Édouard Péricourt ewakuowany, a następnie zmarły wskutek odniesionych ran, jak również niejaki Eugène Larivière przewieziony do Paryża, ale najprostsze nawet dochodzenie administracyjne wykazałoby, że historia jest wysoce podejrzana, że ranny i hospitalizowany Édouard Péricourt nie jest tą samą osobą co Eugène Larivière, który dwa dni później opuścił szpital i został przewieziony do Szpitala Rollina przy avenue Trudaine. Nie można było dostarczyć wymaganych dokumentów.

Édouard zmienił tożsamość, nie mógł już niczego udowodnić, żadnych pieniędzy nie dostanie.

A gdyby dochodzenie poszło dalej, gdyby dotarło do rejestrów, do oszustwa, do sfalszowania dokumentów, skończyłoby się to nie rentą, tylko więzieniem.

Wojna przyzwyczaiła Alberta do przeciwności losu, ale tym razem był zdruzgotany, uznał tę sytuację za niesprawiedliwość. Gorzej, za wyrok. Czym sobie na to zasłużyłem? — pomyślał wstrząśnięty. Gniew gotujący się w nim od chwili powrotu do cywila nagle znalazł ujście, z

* Bazar Vilgraina — powstałe w 1919 r. z inicjatywy Ernesta Vilgraina sklepy działające w dawnych barakach wojskowych oferujące niezamożnym mieszkańcom Paryża artykuły żywnościowe po cenach niższych o 20—30% od ich cen rynkowych.

całej siły walnął głową w ścianę, obrazek z koniem spadł na podłogę, szkło pękło w poprzek, Albert zaś ocknął się, siedząc na podłodze ogłuszony, z wielkim guzem na czole, który nosił przez następne dwa tygodnie.

Oczy Édouarda znowu zwilgotniały. Tymczasem lepiej było przy Albercie zbyt często nie płakać, gdyż jego ówczesna sytuacja osobista i bez tego z łatwością doprowadzała go do łez... Édouard to rozumiał, położył mu więc tylko dłoń na ramieniu. Było mu nieopisanie przykro.

Musieli jak najszybciej znaleźć lokum dla dwóch osób, dla paranoika i inwalidy. Albert dysponował żałośnie niskim budżetem. Gazety nie przestawały głosić, że już wkrótce Niemcy zapłacą co do grosza za wszystko, co w czasie wojny zniszczyli, czyli za prawie połowę kraju. A na razie koszty utrzymania nieustannie rosły, rent ani zasiłków wciąż jeszcze nie wypłacono, komunikacja miejska nie działała sprawnie, z zaopatrzeniem bywało różnie, więc kwitł nielegalny handel, ludzie kombinowali, wymieniali się chodliwymi towarami, każdy znał kogoś, kto z kolei znał kogoś innego, przekazywali sobie informacje, adresy. W ten sposób Albert znalazł się w impasse Pers pod numerem dziewiątym, przed mieszczańskim domem, w którym tłoczyła się już trójka lokatorów. W głębi podwórka stał niewielki budynek, niegdyś służący za magazyn, a obecnie graciarnię, w którym piętro było wolne. Lokum prowizoryczne, lecz obszerne, z piecem kaflowym dającym o tyle więcej ciepła, że nie było wysokie, z umywalką na parterze, z dwoma dużymi oknami oraz z parawanem przedstawiającym pasterki, owce i kolumnady, pośrodku rozdartym i z grubsza załatany.

Albert i Édouard załadowali swój dobytek na ręczny wózek, gdyż ciężarówki były drogie, i przeprowadzili się. Był początek września.

Ich nowa gospodyni, pani Belmont, w 1916 straciła męża, a rok później brata. Była jeszcze młoda i być może ładna, ale tak doświadczona przez życie, że trudno to było stwierdzić. Mieszkała z córką Louise i jak oświadczyła, poczuła się raźniej na widok dwóch „młodych mężczyzn”, gdyż mieszkając samotnie w tym wielkim domu i w tym zaułku, w razie kłopotów nie bardzo mogłaby liczyć na trójkę swoich obecnych sędziwych lokatorów. Żyła skromnie, utrzymując się z czynszu i od czasu do czasu ze sprzątaniami. W wolnym czasie stała nieruchomo w oknie, patrząc na zgromadzone niegdyś przez jej męża rupiecie, dziś nikomu niepotrzebne, rdzewiejące na podwórku. Albertowi wystarczyło wychylić się przez okno, żeby ją zobaczyć.

Jej córka Louise, piegowata jedenastolatka o kocich oczach, była dziewczynką bardzo zaradną. I zadziwiającą. Raz ruchliwa jak żywe srebro, chwilę potem zamyślona, zastęgała nieruchomo jak obrazek. Była bardzo małowówna — Albert ledwie trzy razy miał okazję usłyszeć jej głos — i nigdy się nie uśmiechała. Mimo to była naprawdę ładna. Jeśli dorastając, nadal taka pozostanie, wybuchnie o nią niejedna awantura. Albert nigdy nie potrafił pojąć, jak zdołała zjednać sobie Édouarda, który zwykle nie chciał nikogo widywać. Ale tej małej nic nie mogło powstrzymać. Już pierwszego dnia usiadła w dole schodów i czekała. Wiadomo, dzieci są ciekawskie, zwłaszcza dziewczynki. Pewnie matka wspomniała jej o nowym lokatorze.

— Niezbyt piękny przedstawia sobą widok. Do tego stopnia, że, jak powiedział jego kolega, który się nim zajmuje, nigdy nie wychodzi z domu.

Takie słowa siłą rzeczy mogą tylko zaostrić ciekawość jedenastoletniej dziewczynki. W końcu się zmęczy... — pomyślał Albert. Tymczasem nic podobnego. Zatem widząc,

jak wysiaduje na szczycie schodów pod ich drzwiami, jak czeka i przy każdej okazji zerka do środka, w końcu te drzwi szeroko otworzył. Mała zastygła na progu z ustami rozdziawionymi w duże „O”, z wytrzeszczonymi oczami, odjęło jej mowę. Trzeba przyznać, że facjata Édouarda z tą dziurą ziejącą pośrodku i rzędem górnych zębów, sprawiających wrażenie dwa razy większych niż w rzeczywistości, wyglądała faktycznie niesamowicie, kuriozalnie, sam zresztą Albert oświadczył mu prosto z mostu: „Naprawdę, aż strach na ciebie patrzeć, stary, ludzie czegoś takiego jeszcze nie widzieli, więc mógłbyś przynajmniej mieć wzgląd na innych”. Trudno, powiedział to, bo chciał wymóc na koledze zgodę na przeszczep. I na potwierdzenie swoich słów pokazał otwarte drzwi, przez które umknęła przerażona jego widokiem Louise. Édouard z niewzruszonym spokojem zaciągnął się tylko papierosem przez dziurkę od nosa, palcem zatykając drugą, wciągał i wypuszczał dym w ten sam sposób, bo gardłem nie, Albert nie mógł znieść tego widoku — słuchaj, nie mogę, to mnie zwyczajnie przeraża, tyle ci powiem, wygląda to jak krater ziejący dymem, przysięgam, spójrz tylko do lustra, sam zobaczysz itp. Przygarnął Édouarda zaledwie w połowie czerwca, a już odnosili się do siebie jak stare małżeństwo. Życie codzienne było bardzo trudne, wciąż brakowało pieniędzy, ale jak to czasami bywa, trudności, na zasadzie spoiwa, jeszcze bardziej ich do siebie zbliżyły. Albert ogromnie przeżywał dramat przyjaciela i wciąż nie mógł uwolnić się od myśli, że gdyby ten nie pośpieszył mu wtedy na ratunek... i to w dodatku na kilka dni przed zakończeniem wojny. Z kolei Édouard, który czuł, jak samotny jest Albert, dźwigając ciężar życia za ich dwoje, próbował mu w tym ulżyć, wziął się za sprzątanie, mówię wam, prawdziwa para.

Kilka dni po swojej ucieczce mała Louise znów się

pojawiła. Widok Édouarda w jakiś sposób ją fascynuje — pomyślał Albert. Przez chwilę stała nieruchomo w progu dużego pokoju, po czym bez uprzedzenia podeszła do Édouarda i pokazała palcem na jego twarz. Édouard przyklęknął — Albert miał z nim naprawdę niezły ubaw — i pozwolił, by powiodła palcem po brzegach tej wielkiej dziury. Mała zrobiła to w takim skupieniu, jakby odrabiała zadaną lekcję, z podobną starannością, z jaką obrysowywała ołówkiem na mapie kontury Francji, ucząc się jej kształtu na pamięć.

Od tego momentu zaczęła się ich przyjaźń. Po powrocie ze szkoły Louise szła od razu do Édouarda na górę. Przynosiła mu zdobywane tu i ówdzie dzienniki sprzed dwóch dni lub tygodnia. To było jedyne stałe zajęcie Édouarda — czytanie gazet i wycinanie artykułów. Albert zajrzał kiedyś do teczki, w której ten trzymał wycinki, różne artykuły o poległych na wojnie, wspomnienia, listy z nazwiskami zaginionych, bardzo smutna lektura. Édouard nie czytywał dzienników paryskich, tylko lokalną prasę. A Louise, nie wiadomo, jakim sposobem, zawsze potrafiła je dla niego zdobyć. Niemal każdego dnia w ręce Édouarda trafiała porcja starych numerów „L'Ouest-Éclair”, „Journal de Rouen” albo „L'Est républicain”. W czasie gdy on, ćmiąc caporala, wycinał artykuły, Louise na kuchennym stole odrabiała lekcje. Jej matka nie miała nic przeciwko temu.

Któregoś wieczoru w połowie września Albert wrócił wykończony po dniu spędzonym w charakterze żywego słupa ogłoszeniowego. Przez całe popołudnie wędrował po Grand Boulevards, od Bastille po République, obnosząc reklamy, z przodu kapsułek Pink — *Jak niewiele trzeba czasu, żeby wszystko zmienić* — na plecach gorsetów Juvénil: *Dwieście magazynów w całej Francji!* Wchodząc do mieszkania, zastał Édouarda wyciągniętego na starej,

zdobytej przed kilkoma tygodniami sofie, którą przewiózł, korzystając z ręcznego wózka kolegi poznanego kiedyś nad Sommą, człowieka ostatkiem sił ciągnącego swój pojazd jedną ręką, jaka mu została.

Édouard palił papierosa i miał na sobie maskę, która, niczym broda aktora w greckiej tragedii, zakrywała mu cały dół twarzy, od nosa aż po szyję. Maskę w ciemnoniebieskim, ale świetlistym kolorze usiana była drobnymi złocistymi punkcikami, jakby ją przed wysuszeniem obsypano cekinami.

Albert był zaskoczony. Édouard wykonał teatralny gest ręką, zda się pytając: „I jak wyglądam?”. To było bardzo dziwne: pierwszy raz od początku ich znajomości ujrzał u Édouarda wyraz twarzy prawdziwie ludzki. Maskę, trzeba to przyznać, była bardzo ładna.

W tym momencie z lewej strony usłyszał stłumiony szelest i odwróciwszy głowę, zdążył jeszcze zobaczyć wymykającą się z pokoju Louise. Nigdy wcześniej nie słyszał jej śmiechu.

I maski, i Louise zostały.

Kilka dni później Édouard założył białą, na której wymalowane były wielkie uśmiechnięte usta. W tej masce, z błyszczącymi, roześmianymi oczami przypominał postacią rodem z włoskiego teatru — Sganarela lub Pagliaccia. Odtąd po skończonej lekturze gazet robił z nich masę papierniczą i wykonywał kredowobiałe maski, które potem wspólnie z Louise malowali lub ozdabiali. To, co z początku było tylko zabawą, szybko stało się zajęciem całodziennym. Louise pełniła rolę wielkiej kapłanki, dostarczając kolejne znaleźiska, dzęty, koraliki, materiały, kolorowy filc, strusie pióra, sztuczną skórę węża. Musiała się mocno nabiegać, by oprócz gazet zdobyć wszystkie te świecidełka, sam Albert nie wiedziałby nawet, gdzie tego szukać.

I tak spędzali czas: robiąc maski. Édouard nigdy nie wkładał dwa razy tej samej, nowa zastępowała poprzednią, która dołączała do pozostałych; zawieszane na ścianie przypominały trofea myśliwskie lub ekspozycję kostiumów w sklepie z kostiumami dla przebierańców.

• • •

Dochodziła dwudziesta pierwsza, gdy Albert z kartonem pod pachą dotarł do podnóża schodów.

Zraniona przez Greka lewa dłoń mimo opatrunku doktora Martineau straszliwie go bolała, targały nim też sprzeczne uczucia. Zapas z takim trudem zdobytego towaru pozwalał mu na nieco wytchnienia; dla człowieka takiego jak on, już i tak podatnego na wszelkiego rodzaju lęki, wynajdywanie morfiny było okropnie czasochłonne i uciążliwe... Jednocześnie nie mógł opędzić się od myśli, że ta ilość, którą przyniósł, mogłaby dwudziestokrotnie, stukrotnie uśmiercić przyjaciela.

Cofnął się, uniósł zakurzoną plandekę okrywającą szczątki trójkołowego wózka bagażowego, odsunął wciąż zalegające w jego skrzyni ładunkowej rupiecie i ukrył w niej swój drogocenny karton.

Po drodze przeprowadził szybki obrachunek. Jeśli Édouard pozostanie przy obecnych dawkach, już i tak dość wysokich, przez prawie sześć miesięcy będą mieli spokój.